

Katarzyna Chomczyk

## Wiśnie

Znudzone dzieciaki rozpełzły się po okolicy jak mrówki z rozdeptanego mrowiska. Szukały zajęcia, podczas gdy ich organizmy skrycie skupiały się na dorastaniu. Długie dni upływały na wałęsaniu się po okolicy i kąpielach w rzece.

My z Iloną nie kąpałyśmy się tamtego lata. Trzymałyśmy się z dala od pozostałych, wybierając obojętne towarzystwo krów na łące pod starą lipą. Przestałyśmy pasować. Nasze ciała zaczęły nagle wzbudzać niezdrową ciekawość. Wraz ze zmianą ich proporcji, zmieniało się to, jak traktowali nas inni. Chłopcy, nagle natarczywi i wulgarni, sprawili, że przestałyśmy czuć się bezpiecznie. Co wieczór modliłam się, by moje piersi nie stały się takie, jak u matki: duże i rozlane. Z trwogą czekałyśmy na krew na majtkach, o której, czasem z wyższością, wspominały starsze siostry Ilony. Sprawdzałyśmy bieliznę po kilka razy dziennie przeczuwając, że to też przydarzy nam się szybciej niż koleżankom z klasy. I już naprawdę nie będzie odwrotu. Zazdrościłam młodszym dziewczynom. Emanowały beztroską, nieświadome zdrady, którą szykowały im hormony. Tylko my dwie wiedziałyśmy – nigdy nie odzyskamy tej swobody.

W sadach dojrzewały wiśnie. Zbierałyśmy ciemne owoce do wielkiej miski, a potem szłyśmy na łąkę, szukając oparcia w wiekowym drzewie. Wkładałam dłonie w mięsistą masę, tak pełną soku, jakby miała za chwilę eksplodować. Ilona krzyczała na mnie, bo je gniołłam, ale miałam to gdzieś. Wyobrażałam sobie, że zagłębiam się w pulsujące ciało, jak chirurg, a potem przyglądałam się poplamionej na bordowo skórce. Czasem udawałam morderczynię i ganiałam moją towarzyszkę dookoła drzewa. Obie wiedziałyśmy, że nigdy jej nie dotknę, bo nie wolno nam było brudzić ubrań, nawet, jeśli były to spłowiałe rzeczy po starszych siostrach, jak u Ilony, lub po kuzynkach, jak u mnie. Kiedy nasyciłyśmy się tą niby-krwią, rozkładałyśmy się w cieniu i garściami napychałyśmy sobie usta. A potem wypływałyśmy pestki, byle dalej, jak z karabinu. Wiśnie były zbyt cierpkie i bolał mnie po nich brzuch, nie lubiłam ich smaku. Ale ten sok i te pestki – warto było.

Lipa już prawie przekwitła, ale wciąż wydzielala słodko-mdły zapach miodu. Trawa ugiwała się od ciężaru

życia, wszystko wokół jazgotało, chrobotąło, brzęczało. Niewidoczne insekty muskały nasze nogi, gryzły karki i uszy. Pasące się krowy przeżuwały ze stoickim spokojem. Znalazłyśmy puszkę po piwie i próbowałyśmy ją przewrócić, strzelając bardzo niecelnie z ust jak z wiatróvky pestkowymi pociskami. Ilona wyszczerzała zęby zabarwione sokiem. Śmiała się, że jest wampirem. Nagle znieruchomiała. Zrobiłam z dłoni daszek nad brwiami i zmrużyłam oczy. Nadchodzili jak chmara szarańczy – straszna, bo nieunikniona. Można było tylko patrzeć, jak się zbliża, jak nie sie ze sobą kłęskę, przetacza się z niszczycielską żarłocznością, a po wszystkim: liczyć straty. Znałam ich wszystkich, chłopaków ze szkoły. Mirek z ósmej klasy siedł na początku, dalej Michałek, Bartek, Rysiek Koziół i kilku innych. Na końcu, jak na doczepkę, ciągnął się Głupi Kazik, który siedział ze mną w jednej ławce.

- Chodźmy stąd – Ilona chwyciła miskę z wiśniami.
- Zostajemy – złapałam ją za rękę.

Jeszcze był czas, żeby się wycofać. W nasze plecy trafiłoby kilka wulgarnych okrzyków, ale uszłybyśmy cało. A jednak nie drgnęłam, choć wcale nie byłam odważna. Jeśli odejdziemy teraz, już nie będziemy miały spokoju. Wygnają nas z każdego miejsca, które sobie znajdziemy, pewni, że mogą brać wszystko, czego chcą, że im ustąpią. Czułam to, dlatego wstałam, zacisnęłam pięści i czekałam na ich nadejście.

– Skąd macie piwo? – wzrok Mirka zatrzymał się na starej puszcze, w którą celowałyśmy pestkami. Reszta chłopaków się śmiała, kilku z nich paliło papierosy, wykradzione starszym braciom lub ojcom. – Najlepsza uczennica... Powiem twojemu staremu, Maryjka. Chyba, że się podzielisz.

- Odwal się – burknęłam. Ilona wsunęła się za mnie.
- Pokażcie, co macie, dziewczyny – chyba faktycznie sądził, że ukryłyśmy alkohol, bo rozglądał się badawczo.
- Wiśnie. Chcesz, to się nimi wypchaj. Puszka jest stara, nie nasza.

– Szkoda – Mirek wyrzucił papierosa i splunął. Był tylko dwa lata straszny, ale wyglądał bardzo dorosłe. Wargi rozpełzły się mu na twarzy w coś na kształt parszywego

uśmiechu. Podszedł bliżej. – Może jakoś się dogadamy. Podobno dajesz za pieniądze. Pokaż cycki, dam ci służbę.

Cofnęłam się, ale tuż za mną stała Ilona. Upuściła miskę i wiśnie rozsypały się na ziemię, a ja poleciałam z hukiem do tyłu, prosto w owocową masę. Chłopcy wybuchli piskliwym śmiechem mutujących głosów. Na moich żółtych spodniach wykwitły bordowe plamy, które na pośladkach i w kroczu zwały się w wielki krwawy ślad.

– Dostała ciotę! Dostała ciotę!

Głosy nade mną wirowały, ręce miałam umazane ziemią i sokiem, a po chwili też czoło, które pobrudziłam odgarniając włosy. Czulałam pod sobą wilgoć gniecionych owoców. Kręciło mi się w głowie. Z każdej strony napierały na mnie chłopięce ciała. A może oni wcale się nie ruszali, może to ich śmiech mnie przytłaczał? Widziałam wykrzywione twarze z zaczątkiem zarostu, słyszałam swój płacz, ale ta przerażona dziewczynka w brudnym ubraniu nie mogła być mną. Zerknęłam na moje martwe ręce i przez chwilę wydawało mi się, że jest na nich prawdziwa krew. To trwało wieczność, a ja nie byłam w stanie się ruszyć, jakbym to nie była ja, a ktoś całkiem inny. Wtedy, jak spomiędzy zasłon, wysunęła się do mnie dłoń, a ja bezwiednie ją chwyciłam. Ktoś pomógł mi się podnieść i dopiero wtedy zauważyłam, że to Mirek. Na chwilę jego rysy złagodniały, patrzył na mnie, a ja nie mogłam oderwać od niego wzroku. Miał szare oczy i długie piękne rzęsy. Nigdy wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi, nigdy wcześniej nie przyglądałam mu się w ten sposób. Wydał mi się wręcz ładny, dobry. Ocknęłam się, gdy coś szorstkiego przebiegło mi pod koszulką. To jego brudne palce o obgryzionych paznokciach zacisnęły się na moim sutku.

– No, Maryjka, jesteś już kobietą, pokaż, co potrafisz – odskoczyłam, ale trzymał mnie mocno prawą ręką, podczas gdy lewa macała moje piersi. Szybko wbiłam mu kolano w krocze i wyrwałam się.

– Wypierdalaj, skurwysynu, bo cię zajebię gnoju niemoty, a potem rozpiardolę łeb twojemu ojcu i wsadzę kij w dupę twojej matce! Won stąd, brudne małe fiuty! – zacisnęłam pięści pewna, że za chwilę wydarzy się coś najstraszniejszego w moim życiu. Zabiją mnie albo zrobią to, co mężczyźni robili czasem dziewczynom, które wieczorami same chodziły po lesie. To, czym straszyla mnie matka. Ilona gdzieś zniknęła, pewnie uciekła. Na swojej skórze wciąż czulałam brudny dotyk. Wstrząsały mną dreszcze. To koniec, uznałam.

– Bładź – Mirek splunął w moją stronę, wyprostował się. Pozostali czekali, żaden chłopiec nie drgnął. Z tyłu stał Głupi Kazik. Wyglądał, jakby nic nie rozumiał.

– Doigrasz się, Maryjka – oblizal palce prawej dłoni, tej, którą przeze mnie miał teraz zabarwioną sokiem z rozniecionych wiśni. Nic więcej nie powiedział. Kiwnął głową i wszyscy, podśmiewając się i ciskając we mnie wyzwiskami, odeszli. Głupi Kazik unikał mojego wzroku.

Patrzyłam, jak zlewali się w niewyraźną masę, żeby w końcu zniknąć za zakolem rzeki. Dopiero wtedy, znowu bezpieczna, usiadłam na ziemi i rozplakałam się. Skurwysynu. Nikt mnie nigdy więcej nie dotknie. Zacznę nosić nóż. Jak mnie matka zobaczy, zabije mnie, tego byłam pewna. Płakałam długo, przysnęłam. Kiedy się ocknęłam, stała nade mną Wanda, matka Głupiego Kazika. Nie wiem, która z nas bardziej się wystraszyła.

– To sok z wiśni – wyszeptalam w końcu, bo zauważyłam, że z przerażeniem lustrowała moje brudne ubranie. Nie odpowiedziała, złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Poddalam się, szłam posłusznie, było mi wszystko jedno, co robi, byle tylko nie powiedziała mojej matce. Nie zastanowiło mnie nawet to, że był środek dnia, a ona powinna była być wtedy w pracy. Potrzebowałam, żeby ktoś się mną zajął i ulżyło mi, że to akurat ona, ktoś, z kim moja matka nigdy nie rozmawiała.

Wanda była inna niż kobiety ze wsi. Nie trzymała zwierząt, nawet kur, więc ładnie pachniała, a jej paznokcie były równo pociągnięte lakierem. Zawsze czerwonym. Pracowała na poczcie, niedawno została kierowniczką. Wydawała mi się ważna i mądra, ale inni gadali. Bez rodziny, bez znajomości, co musiała zrobić, żeby dostać taką posesję? Jej niewybaczalnym grzechem było to, że nie miała męża, podobno z własnej woli! Nasze matki jej nie ufaly. Jak baba może poradzić sobie w życiu sama? I to na wsi! A może upatrzyła któregoś z cudzych mężów i skrycie zaginała na niego parol, cała wyfiokowana w obcisłych spódnicach, w skórzanych czółenkach? Chodzi po poczcie jak kłacz po wybiegu i wywija kuprem na prawo i lewo. Suka. Na szczęście Bóg jest sprawiedliwy. Puszczala się nie wiadomo z kim, to ją pokarał takim dzieckiem. Głupi Kazik. Ma za swoje, ściervo. Tak mówiły między sobą sąsiadki, gdy popołudniami schodziły się do nas na herbatę. Miały suche dłonie, przepoczone włosy przykrywały chustkami, stopy chroniły w starych trepach. Śmierdziały oborą, były zmęczone, przedwcześnie postarzałe.

Wanda zabrała mnie do siebie i dyskretnie wprowadziła na podwórko od strony ogrodu. Po chwili stałyśmy w łazience. Zielonej. Wyjęła coś z szafki, zabrała miskę, a potem kazała mi się rozebrać i zostawić ubranie za drzwiami. Wyszła. Było tu mniej miejsca niż u nas i pachniało zupełnie inaczej, czystością. Połowę pomieszczenia zajmowała śnieżnobiała wanna. Nasza była odrapana, upstrzona rdzawymi plamami, choć i tak częściej myśliśmy się w balii, jedno po drugim, żeby oszczędzać wodę. Nie wiedziałam nawet, że taka biel jest możliwa! Wszystko tu było ładne: włochaty dywanik, koronkowa firanka w małym okienku, butelki z kolorowymi płynami ustawione równo na półce. Co ja tu robiłam, taka brudna, z obgryzionymi paznokciami, przesiąknięta zapachem potu moich rodziców jak niezbywalnym znakiem rodowym? Wyobraziłam sobie, że to także moja łazienka. Że jestem jej córką. Byłam tam bardzo długo, tak mi się przynajmniej wydawało. Bezwstydnie oblewałam się ciepłą wodą w takich ilościach, że matka na pewno skrzyczałaby mnie za marnotrawstwo. Powoli wycierałam się ręcznikiem w wymyślne wzorki. Takich ręczników nie sprzedawali nigdzie u nas. Chciałam zapamiętać tę chwilę, zostać tutaj. Zazdrościłam Kazikowi, że ma taką matkę.

Na kłamce, zamiast moich ubrań, wisiała sukienka, za duża. Drzwi wejściowe były uchylone, Wanda siedziała na schodach, paliła. Nasze matki nie paliły. Bardzo chciałam, żeby poczęstowała mnie papierosem, choć miałam dwaście lat i wcześniej wcale o tym nie myślałam. Usiadłam obok, a ona bez słowa podała mi kubek schłodzonego kompotu. Na sznurze powiewały moje spodenki i koszulka.

– Powinno niedługo wyschnąć.

– Dziękuję.

– Plamy z owoców schodzą trudniej. Żeby zmyć krew wystarczy mydło i zimna woda. Tu trzeba było porządnie szorować.

– Dziękuję – powtórzyłam, choć nie wiedziałam, po co to powiedziała. Kompot był słodki, z wiśni. Postawiłam szklankę obok paczki Marlboro i popielniczki, która stała pusta, bo Wanda strzepywała popiół prosto na trawę.

– Wiesz, kiedy urodził się Kazik, bardzo długo marzyłam o córce – nie odpowiedziałam, ale pożałowałam, że trafiłam się mojej matce, a nie jej. To ja mogłam być jej córką, wymarzoną. – Ale może to dobrze – dodała po chwili. – Chłopakom jest łatwiej. Dużo łatwiej.

– Wiem, mam trzech braci.

– Poproś matkę, żeby kupiła ci stanik. Dni, kiedy mogłaś chodzić w samej koszulce masz już za sobą – kiwnęłam głową, ale wiedziałam, że tego nie zrobię. Nie chciałam być jak te wszystkie kobiety, które co wtorek na bazarze przymierzały biustonosze przy stoisku. Na oczach wszystkich upychały piersi do wielkich usztywnianych miseczek. Sprawdzały obwód, usiłując zapiąć haftki

na wzorzystych bluzkach tak, że na plecach formowały im się fałdy. Nie mogłam stać się jedną z nich. Wanda na pewno nie kupowała bielizny ze stołu.

Sięgnęła po kolejnego papierosa. Była tak inna od reszty kobiet, które mnie otaczały, że wydawała mi się jak z telewizji. Nawet mówiła inaczej, tak twardo, bez miękkiego akcentu. Nie „po naszymu”. Jej profil był ostry, wyrazisty. Nie wiem czy świadomie, ale często zagryzała wargi, jakby bała się, że z ust wymkną się jakieś nieprzemyslane słowa. Miała gęste, ciemne włosy, teraz domyślałam się, że farbowane. Zwykle upinała je w ciasny kok, przez co wyglądała starzej i bardzo surowo, ale teraz luzem opadały na plecy. Kiedy poruszyła głowę, ciemna firanka rozchyliła się na chwilę i zobaczyłam na szyi czerwony ślad, jak po ugryzieniu.

– Czy wśród nich ... czy Kazik był z nimi? – Przelknęłam ślinę, udawałam, że nie rozumiem.

– Z kim?



foto. Valentin Salja / Unsplash

– Z tymi, którzy ci to zrobili – nigdy nie widziałam, by ktoś tak długo wydmuchiwał dym.

Potrząsnęłam głową, a ona dopiero wtedy odwróciła się w moją stronę, zaczęła mi się przyglądać, jakby zastanawiała się, czy mówię prawdę. Po chwili jej rysy złagodniały, postura się rozluźniła. W życiu nie byłam tak zadowolona, że skłamałam.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają. Większość mężczyzn to prostackie gnojki. Nieważne, czy mają dziesięć, trzydzieści, czy siedemdziesiąt lat – zgasła papierosa, podniosła się i podeszła do sznura na bieliznę. – Już prawie suche!

Na spodniach nie było śladu. Odetchnęłam. Znowu stałam się zielonej lazience. Ubrania pachniały przyjemnie. Rozejrzałam się jeszcze, chciałam wszystko zapamiętać: kolor płytek, miękkość dywanika, wielką wannę. Jak będę duża, też się tak urządzę.

Zamykając bramkę stwierdziłam ze smutkiem, że już nigdy tu nie wrócę. Gdyby moja matka się dowiedziała, gdzie spędziłam popołudnie ... Właściwie nie wiem, co by zrobiła. Spuściłaby mi lanie? A może kazałaby mi

wszystko dokładnie opowiedzieć, czujna na każdy szczegół, za który mogłaby jeszcze bardziej zniechęcić tę kobietę? Nie powiem nikomu, że tu byłam. Nikt na to nie zasługuje.

– Poczekaj! – Wanda wybiegła za mną, kiedy zanurzałam się w niewidoczną między wysokimi trawami ścieżkę. Zamarłam, ścisnęłam rękę w kieszeni. – Kiedy naprawdę przyjdzie ten czas – wcisnęła mi w ręce miękką paczkę w czarnej ścierce. – Uważaj na siebie, Maryjka. Nie jesteś już dzieckiem.

Wpatrywałam się w rozduszone wiśnie, które kilka godzin wcześniej przyczyniły się do mojego upokorzenia. Obok, na rozłożonej czarnej chustce, białe podpaski. Podpaski! Towar nieosiągalny wtedy dla zwykłego człowieka. Proste kobiety używały waty.

Wanda miała rację, nie byłam już dzieckiem, już się tak nie czułam. Tylko kim stałam się teraz? Między palcami trzymałam tłacę się Marlboro. Krztusiłam się, ale próbowałam wydmuchiwać dym powoli, długo, jak ona. Szara smuga unosila się przez chwilę wokół mnie, a potem rozplywała w gałęziach starej lipy. Obojętne krowy przeżuwały trawę.

## KATARZYNA CHOMCZYK

– autorka opowiadań, słuchowisk i dramatów. Absolwentka filologii hiszpańskiej i gender studies. Ukończyła Kurs Kreatywnego Pisania w Państwowej Akademii Nauk. Jej słuchowisko „Papierówki” zajęło pierwsze miejsce w konkursie PAN na najlepszy scenariusz. Dużo czasu spędziła za granicą. Choć lubi podróże, w sercu pozostaje dumną Podlasianką, którą losy zaprowadziły do Warszawy. Nie boi się wyzwań: pracowała między innymi w fabryce czajników i tureckim sklepie z diamentami.



fot. archiwum prywatne autorki